Legenda o Diable Weneckim

 Pewnego letniego popołódnia bawiłem na prastarej ziemi pałuckiej u znajomego gospodaża ze wsi Gąsawa, hłopa z dziada pradziada. Jan mu było na imię. Siedząc nad zimnym zsiadłym mlekiem, kture przyjemnym hłodem odpędzało od nas dokóczliwy skwar lejący się z nieba, zgadało nam się jakoś tak nie wiedzieć czemu na temat ruin zamku średniowiecznego w pobliskiej wsi, Wenecją zwanej.

- Skromne te wasze róiny, Janie – muwię. – Nie ma specjalnie czego oglądać.

- A pewnie, że nie ma czego, bo i nawet trochę strah – uśmiehnął się jakoś tak dziwnie, odwracając wzrok w kąt kóchennej izby.

- Łobózy się tam kręcą? – zapytałem domyślnie.

- Kręcą się, a w zasadzie to jeden taki się kręci dóch – odparł i pociągnął spory łyk mleka z litrowego blaszanego kóbka, aż mu parę kropel osiadło na sómiastych wąsiskach.

- Hej, nie gadajcie, czyrzby z tym miejscem była związana jakaś opowieść? – porószyłem się na drewnianej ławie, aż zaskszypiała. Musiałem długo czekać, aż się napije, obetsze wąsy z mleka, podrapie po głowie. Robił to specjalnie, drarznił się ze mną tym ociąganiem.

- Ano, tu na Pałókach wszyscy starzy ludzie ją znają i opowiadają… taką niby legendę.

Legenda! Zbieram wszystkie, jak leci, krakowskie, toruńskie, gnieźnieńskie i gdańskie. O pałuckich nigdy jednak nie słyszałem!

- Opowiadaj, Janie, opowiadaj – odstawiłem kóbek z prawie wypitym mlekiem i cały zamieniłem się w słuch. – Jak się ten dóch nazywa?

- Diabeł Wenecki.

- Diabeł?!

- No, aniołem to on nigdy nie był. W dawnych czasach rzył i zamek, z którego rujiny tylko dzisiaj pozostały, wybódował.

- Diabeł zamek wybódował?

- Nie tylko zamek wybódował, ale ponoć to właśnie on wieś podległą sobie Wenecją nazwał na cześć słynnego włoskiego miasta. Może dlatego, rze jak tamta na wodzie wzniesiona, tak i ta pomiędzy wodami tszech jezior pięknie połorzona. A Diabłem go już za rzycia nazywano albo Krwawcem, bo krwawy to pan był i okrótny. Król Węgrów i Polaków – Ludwik Węgierski –sędzią kaliskim go mianował, jego - ostatniego potomka morznego, rycerskiego rodu, dziedzica bajecznej fortóny. Jednym słowem pan to był całą gębą, kturego bała się cała okolica. Nazywał się Mikołaj i herbu był Nałęcz. On zaś nie bał się nikogo, bo nawet z biskópami gnieźnieńskimi zadarł i wojnę z nimi toczył. Wyroki jako sędzia na podległych sobie mieszkańców sórowe wydawał, karał za drobne przewinienia okrótnie, a i podatki wysokie ściągał bezwzględnie i bezlitośnie. Bali się go wszyscy, o konszahty z diabłem podejżewali i omijali zamek morznowładcy szerokim łókiem. Zajerzdżali do niego tylko wtedy, gdy zostali do tego siłą lub warzną sprawą pszymuszeni. Tak ponoć było z hłopami z naszej Gąsawy, ktuży z proźbą o ulitowanie i skargą na brótalność pańskich pahołków ściągających daniny do Nałęcza, na zamek się udali. Sędzia tak się rozłościł lamentami hłopskimi, że kazał całe poselstwo w dyby zakóć, sąd nad nimi odprawił i śmiercią przez powieszenie ukarał. Tego już było za wiele dobremu Panu Bogu, ktury z wysokości na okrócieństwa Mikołaja z coraz większym gniewem spoglądał. Tego samego dnia pod wieczur, gdy pan użądził zaplanowany wcześniej bal chóczny i bogaty – rosszalała się buża. Pioróny tak biły w zamek, że pszestraszeni goście wybiegli na dziedziniec do swyh powozuw i koni, aby uciekać, gdzie oczy poniosą. Sam gospodaż, choć chardego serca*,* stropił się wielce i zastanawiać począł, czy uciekać z gośćmi, czy w lohach zamkowyh się ukryć.W tym momencie piorón uderzył w zwodzony most, który na oczach przerarzonych biesiadników spłonął. Jedyna droga ucieczki została otcięta… Następnego dnia pszybyli pod zamek w lódzie – zaniepokojona rodzina i znajomi hłopuw, ktuży z zamku na noc nie wrucili. Ujżeli tylko pogożelisko i róinę, taką mniej więcej, jaka stoi dziś. Z ogromnego zamku nie pozostało prawie nic. Padli na kolana i modlili się za dósze swoich bliskich, kturyh nie spodziewali się już ujżeć. Po Mikołaju i jego gościach też ślad wszelki zaginął. Ponoć pan na Wenecji włóczy się po zamkowyh lohach, łańcóhami spętany. Skarbuw swych niegodziwie zdobytyh pilnóje i tak po kres czasuw za gżechy popełnione jako dóch pokótuje.

 Zmieszchać się poczęło i świerszcze cykaniem rzegnały zahodzące pomarańczowe słońce. Milczeliśmy obaj zapatrzeni w ciemniejące niebo.

 Kiedy następnego dnia mijałem ruiny zamku, poczułem wewnętrzny chłud i dobiegł mnie głośny bżdęk. „Eee, coś mi w uszach dzwoni” – pomyślałem, lecz pszyspieszyłem nieco kroku, odwracając głowę od niepozornych zamkowych rujin.